

POLSKA WALCZĄCA

FIGHTING POLAND ■ POLISH WEEKLY ■ LA POLOGNE EN LUTTE

Wychodzi co tydzień

Londyn, dnia 4 czerwca 1949 r.

Rok XI. Nr 22

Zmora wznowienia zbrodniczej spółki

Po wydarzeniach ostatnich lat mogło być się wydawać, że już nie gorzej przydarzyć się nam nie może. Ale niestety zawsze jeszcze istnieje możliwość, że sytuacja narodu polskiego pogorszy się. Tym niebezpieczeństwem jest powołanie, niż dotychczasowe, jest odrodzenie się w jakiejś formie zbrodniczej spółki niemiecko-sowieckiej.

Każdy z naszych dwu wielkich sąsiadów jest niebezpieczny, ale groźni stają się szczególnie, gdy działają ręką w rękę. Przekonał się o tym w epoce rozbiorów, a ponownie w roku 1939, gdy raz jeszcze oba narody rozbójniczo osiągnęły porozumienie kosztem Polski. Teraz zarysowuje się znowu ten koszmarny.

Nie jesteśmy zresztą odosobnieni w naszym zaniepokojeniu; także Zachód, który dziś już wie, że nie byłoby drugiej wojny światowej, gdyby nie sojusz Hitler-Stalin, z niepokojem rozważa możliwość odrodzenia się współpracy niemiecko-sowieckiej. Na świat padł cień Rapallo.

CIEN RAPALLA

Co to było takiego: Rapallo, o którym często się dziś słyszy? Stare to dzieje, nieco zapomniane, więc warto je przypomnieć.

W 1922, wkrótce po pierwszej wojnie światowej, Anglicy zwołali do Genui wielką konferencję w sprawie gospodarczej odbudowy świata. Była to pierwsza konferencja międzynarodowa z udziałem bolszewików i Niemców; jedni i drudzy do tej pory byli izolowani. Chodziło o to, by zapoczątkować współpracę z nimi. I oto w wielkocenne niedziele delegacji sowieckiej i niemieckiej nagle znikli; pojechali potajemnie do pobliskiego Rapallo i tam zawarli układ handlowy, który był jawnym wyzwaniem pod adresem mocarstw Zachodu. Sama konferencja w Genui musiała w tych warunkach skończyć się fiaskiem...

Rapallo stało się symbolem polityki współpracy niemiecko-sowieckiej.

Dalsze jej etapy to potajemna współpraca sztabu niemieckiego z sowieckim, praca niemieckiego przemysłu zbrojeniowego w głębi Rosji, nowe układy z 1926 roku. Dojście do władzy Hitlera nie przeszkodziło bynajmniej w utrzymaniu tej współpracy. Stalin już w 1934 tłumaczył, że choć bolszewicy nie lubią narodowego socjalizmu, to jednak nie ma to nic do rzeczy; przecież — wskazywał — faszyzm we Włoszech nie przeszkodził Rosji w utrzymywaniu „najbardziej serdecznych stosunków” z tym krajem!

Wszystko zależało odtąd od Hitlera. Gdy w 1939 zdecydował się na współpracę, Stalin otworzył swe ramiona...

NIEMIECKIE MARZENIA

Pewnie, że Rosjanie woleliby mieć Niemcy komunistyczne i wszystko zrobić, aby utorować komunistom drogę do władzy. Ale jeżeli się to nie uda, to gotowi są do przyjaźni z każdym innymi Niemcami.

Ze swej strony Niemcy na zachodzie są wprawdzie bardzo antykomunistycznie nastroszeni, a po doświadczeniach lat wojny i okupacji boją się bardzo Rosjan, to jednak nie możemy

do nich mieć zaufania, że oprą się pokusie „odgrywania się” przy pomocy sowieckiej. Politycy niemieccy zawsze będą sobie wyobrażali, że przechytrzą „wschodnich barbarzyńców”, że choć Niemcy są pokonane a Rosja zwycięska, to w nowym związku Niemcy z czasem uzyskają rolę kierowniczą.

Najbardziej niebezpieczni są pod tym względem niemieccy milicyjni, junkrzy i przemysłowcy. W kołach wojskowych wciąż żywa jest tradycja współpracy z Rosją w latach trzydziestych. Przemysłowcy znowu marzą o wschodnich rynkach zbytu dla produktów przemysłu Ruhry i w ogóle Niemiec Zachodnich. Specjalnie dla ich pozyskania Rosjanie niedawno wysłali do Niemiec Zachodnich swego emisariusza, zdolnego dyplomata niemieckiego Nadolnego, który ustąpił ze służby po dojściu do władzy Hitlera i który zawsze był zwolennikiem „orientacji wschodniej”. Tłumaczył on przemysłowcom niemieckim w sposób wcale przekonujący, że mocarstwa zachodnie nie będą tolerowały konkurencji przemysłu niemieckiego na rynkach zbytu na Zachodzie. Dlatego trzeba szukać tych rynków w Rosji, w krajach za żelazną kurtyną, w Chinach komunistycznych.

SZANTAŻ

Gdyby udało się Rosjanom zrealizować jednoś gospodarczą i pozyskać Zachód dla idei skierowania eksportu niemieckiego na wschód, co i dla Anglików jest atrakcyjne, to byłby to krok na drodze do związania Niemiec z systemem sowieckim.

W każdym razie jesteśmy świadkami dużej akcji na terenie Niemiec na rzecz współpracy z Sowietami, nawet



TARGI FRANKFURCKIE

Mimo że zewnętrznie targi frankfurckie przedstawiały się bardzo niepozornie i o wiele skromniej niż nawet przeciętne targi wojewódzkie w Polsce przedwojennej (głównie z powodu otaczających ruin, barakowych pomieszczeń, a nawet namiotów) to jednak jako całość wysiłku, w okresie przypadającym na powstawanie państwa zachodnio-niemieckiego, posiadały one wielką wymowę polityczno-gospodarczą, o skali może nawet większą niż europejskiej.

Oto po 4 latach śpiączki i marazmu narodowego Niemcy dzięki politycznej koniunkturze oraz zesłorocznej reformie walutowej wstępują na arenę życia gospodarczego nie tylko Europy, ale i drugiej półkuli — targi frankfurckie miały bowiem swego sobowtóra — równocześnie niemiecką wystawę w miniaturze w Nowym Jorku.

CHWAŁA PRZEMYSŁOWI!

Lekki dreszcz wzruszenia ogarnął grube i dobrze odżywione postacie przedstawicieli życia politycznego i gospodarczego Niemiec Zachodnich, kiedy w sali uniwersyteckiej w Frankfurcie urzędujący dyrektor amerykańskiego zarządu wojskowego dla Hessji Francis E. Sheehau otworzył targi swym przemówieniem — po raz pierwszy w dziejach okupacji Niemiec... po niemiecku.

Pomijając gloryfikowanie czynu wystawy przez licznych późniejszych mówców, zwolenników odbudowy Niemiec przy pomocy mocarstw zachodnich, oraz faktu wstrzymania się obwołania targów przez liczne znane firmy przemysłowe — należy przyznać, iż mimo widocznego fragmentaryzmu targów i małej liczby obcych przedstawicieli (Belgia, Włochy,

Szwajcaria i USA), niektóre działy eksponatowe były zupełnie na poziomie, natomiast dział budowy maszyn był jak na zniszczenia wojenne wprost imponujący; przy cenach jak na wewnętrzna wartość marki — niezwykle przystępnych.

Mimowoli nasuwała się myśl, że gdyby Niemcom dano dziś wolną rękę w dziedzinie eksportowej i usunięto filtr finansowo-gospodarczy wymiany zagranicznej — potencjał produkcji w jednym tylko dziale budowy maszyn zalałby conajmniej wszystkie słabsze organizmy gospodarcze świata.

DZIWNE BRAKI

Nieproporcjonalnie biednie przedstawiał się na tych terenach dział elektryczny, tak silnie rozbudowany przed wojną; a dział chemiczny brakowało zupełnie. Widocznie z takiego założenia musiano wyjść przy ustalaniu wytycznych dla wykonawców.

Natomiast zupełnie niezrozumiał jest fakt słabego obwołania działu wszelkiego rodzaju rękodzielnictwa, tak zawsze charakterystycznego dla Niemiec, a w szczególności Frankfurta i Norymbergi (obu miast właśnie w zonie USA).

Jakże nikt i prymitywnie wyglądają eksponaty rękodzielnictwa niemieckiego (w metalu, plastyce, wełnie, skórze, drzewie), jaka prosta obróbka, liche materiały, brak indywidualności i pomysłu artystycznego. Pod tym względem nie tylko narody zachodnie, ale i środkowej Europy nie potrzebują na razie obawiać się konkurencji.

OZY BOJKOT?

Chyba że targi frankfurckie polegały na nieporozumieniu, albo też

przy odrzuceniu komunizmu. Coraz to któryś polityk niemiecki mówi o „neutralności” Niemiec, o handlu ze wschodem itd. Wygrzywane jest też hasło rewizjonistyczne: Niemcy wiedzą, że tylko Rosjanie, a nie Anglosasi mogą im, jeżeli zechcą, zwrócić ziemie za Odrą i Nysą. W szeptanej propagandzie obiecują emisariusze ze wschodu, że Rosjanie być może, ewentualnie, zgodzą się, zastanowią się...

Oczywiście dużo jest w tym szantażu niemieckiego. Niemcy usiłują wykorzystać konflikt między Zachodem a Rosją i wyłudzić groźbą porozumienia się z Sowietami od mocarstw zachodnich różne ustępstwa polityczne i gospodarcze. Na ogół Zachód zdaje sobie z tego sprawę i jak do tej pory nie ma wskazówek, by dał się Niemcom wymanamować.

Dopóki Niemcy pozostają podzielone, dopóki zachodnie Niemcy są okupowane, a zachodnie mocarstwa okupacyjne kontrolują politykę zagraniczną i handel niemiecki, dopóty politycy niemieccy nie będą w stanie ulec kuszeniom ze wschodu. Stąd takie wysiłki sowieckie dla doprowadzenia do jedności Niemiec. Trzeba mieć nadzieję, że się nie powiedą!

KAZIMIERZ ALBAN

Sprawa obywatelstwa

Sprawę przyjmowania przez polskich uchodźców obywatelstwa obcego polskie czynniki rządowe zdrowo przespały. Co gorsze, kiedy wreszcie ocknęły się, wydały rozporządzenie stwierdzające, że przyjmowanie obcego obywatelstwa jest szkodliwe, sprzeczne z polską racją stanu i że władze będą wydawały zezwolenia jedynie w specjalnie uzasadnionych wypadkach.

Niestety trudno oprzeć się wrażeniu, że właśnie tak ujęte rozporządzenie jest szkodliwe. Przede wszystkim dlatego, że jest spóźnione co najmniej o dwa lata, podczas których wielu dobrych Polaków już przyjęło obce obywatelstwo, a wiele tysięcy już złożyło o nie podania lub otrzymało je prawie automatycznie [Australia, Kanada]. Następnie dlatego, że przyjmowanie obcego obywatelstwa jest żelazną konsekwencją sytuacji, w którą nas wpędził nieprzyjajny los. Wreszcie dlatego, że jeżeliby wszyscy zainteresowani zgłosili się lojalnie do władz polskich, to władze te nie mając odpowiednio rozbudowanych biur, nie byłyby w stanie rzetelnie przejrzeć we wszystkich sprawach.

Papierowe, niezyciowe rozporządzenie jest zawsze mniej lub więcej szkodliwe, a w tym wypadku zawiera ono specjalne zło: wzbudza w polskich uchodźcach sprzeczne uczucia, stwarza pojęcie „gorszych Polaków”, odsuwa wiele wartościowych jednostek od zorganizowanej służby Polsce.

A tymczasem trzeba było zdobyć się na takie ustawienie sprawy, aby właśnie tych, którzy mogą otrzymać obce obywatelstwo, zwrócić z polską działalnością i wykorzystać te nowe możliwości.

Tam gdzie działa przymus narzuconej sytuacji, trzeba do tej sytuacji dostosować się i starać wyśiągnąć tyle korzyści ile tylko można. W tak wyjątkowych okolicznościach, których polskie ustawodawstwo nie mogło przewidzieć, władze państwowe na uchodźstwie zawsze mają możliwość stworzenia odpowiednich podstaw prawnych. Ustawodawstwo polskie wykluczając podwójne obywatelstwo z pewnością nie miało intencji stosowania tego zakazu w takiej sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie państwo polskie.

Trzeba w tym wszystkim zawsze pamiętać, że sprawa przyjmowania obcego obywatelstwa jest równie trudna i nieprzyjemna dla poszczególnego obywatela, jak i dla władz państwowych. Dlatego lepiej pozostawić na boku wszelkie oceny, tym bardziej że nie kto inny, jak same władze państwowe wybrały drogę, którą uchodźstwo obecnie podąża.

Bo przecież można było w krytycznym momencie, w roku 1945, wybrać inną drogę: wielkiej historycznej demonstracji, ostrego protestu i walki w obronie naszej państwowości. Wówczas same władze, zamiast usunąć się w cień, musiałyby pójść heroiczną drogą, narażając się na wszelkie szkany, wtemczas wojsko zamiast przekształcić się w PKPR — brytyjską organizację wojskową, nie dopuściłoby dobrowolnie do rozbrojenia i — jeżeliby do tego doszło — po walce trafiłoby za druty obozów internowanych. Wtemczas też trzeba by było rzucić stanowcze wezwanie do trwania przy polskim obywatelstwie i uważać za parszywą owcę każdego, kto nie chciałby usłuchać.

Ale wybraliśmy inną linię postępowania, która większości wydawała się rozsądniejszą i skuteczniejszą. A na niej właśnie leży obowiązek oddziaływania od wewnątrz na społeczeństwa Zachodu, w czym posiadanie obywatelstwa brytyjskiego, francuskiego, amerykańskiego itp. może tylko pomóc. Kiedy członkowie władz państwowych RP stali się „prywatnymi rezydentami” w W. Brytanii, a dowódcą polskim Rząd RP zalecił przejść na służbę Jego Królewskiej Mości — wymaganie od „szarego człowieka” — uchodźcy trzymający się heroicznej linii postępowania może być wzięte jedynie za przykład „hurra-patriotyzmu”.

Trzeba prowadzić politykę opartą o zaufanie do obywateli. A Polacy na uchodźstwie potrzebują organizowania rzeczywistej działalności na rzecz sprawy polskiej, a nie oficjalnych pieczęci na patriotyzm. Żołnierze nasi nosili już francuskie mundury i brytyjskie battle-dressy, ale orzełka polskiego nigdy nie zdejmowali z tych mundurów, ani ze swoich serc.

Euro

Uchwała Rady Głównej SPK: Składka na oświatę

W zrozumieniu wielkiej roli pracy kulturalno-oświatowej w środowiskach emigracyjnych i dla podkreślenia więzi ideowej tej pracy wszystkich ogniw kombinacji — Rada Główna uchwała jednorazową powszechną składkę na cele prac kulturalno-oświatowych w wysokości 1/10 [lub równoważność].

Wpływy z tej nadzwyczajnej składki pozostaną w połowie do dyspozycji Oddziałów, w połowie zaś zostaną odprowadzone do Wydziału Kultury i Oświaty Zarządu Głównego na cele akcji wydawniczej i bibliotecznej.

Zbiórki należy zorganizować, o ile to jest możliwe, w dniu 15 sierpnia, jako Święta Żołnierza.

TOMASZ RYBOTYCKI

EDWARD EUGENIUSZ CHUDZYŃSKI

KAUKASKA DYWIZJA

W czwartą rocznicę „uwolnienia” przez Rosjan.

Wśród krzyków, wicatów,
Wśród kopyt kurczawych,
Pędzili w zwycięstwo jak w obłęd, jak w tan!
Pędzili rżnąć katów...
— A wzrok mieli krwawy,
Nurzali sztandary we krwi świeżych ran!

Dywizja, brygady,
Na koniach spienionych,
A upór kałmucki wciąż naprzód ich gnał!
— Nam cofnąć? Nie nada!
Więc dalej szwadrony!
Zwycięskich motofców ogarnął dziś szal!

Jak w brudnym obłoku
Drogami pędzili,
— A pyski zbloczone oblepiał im pot.
Pięćdziesiąt mil w skoku,
Jak mieczem się ubili!
Skrwawieni jak szatan! Miazdzący jak młot!

Taczanki, katiusze,
W obłędnej galopie;
Wśród gwałtu i trwogi, pożarów i krwi...
— Swawolić dziś muszę! —
Chłop bron! Po chłopie
z pepeszką posunął i granat pod drzwi!

Gdzie przeszli — milczenie...
— Nie szkoda zniszczenia?
— Ta czołwiek dla państwa, nie państwo dla mas!
— Czy macie sumienie?
— Nie mamy sumienia!
— Ten przesąd burżujski już przeżył swój czas! —

I gnali w pośrodku
Wśród jęków i zbrodni,
Z Kaukazu po Dunaj — „kulturę” swą nieść...

Świat klaskał im w trzódze...
Ze dzielni... Ze godni...
Ze wielcy zwycięzcy...
Ze trzeba ich — ZGNIĘŚĆ!!

Londyn, 1945—1949, maj.

Głos polskiego „dipisa” z Austrii

W nrze 14 „Pol. Walcz.” p. Zbigniew Czech poruszył szereg aktualnych spraw związanych z bytowaniem Polaków, a szczególnie t.zw. DP w Niemczech. Artykuł nie zawiera żadnej przesady, a raczej znikomą część bolączek ikrzyd DP. Dobrze, że sprawą tą od czasu do czasu ktoś się zajmuje, a pożądanym jest, by ta sprawa w ogóle nie schodziła ze szpalt naszej prasy. Nie wystarczy tworzyć jakieś międzynarodowe „Ligi praw człowieka”, IRO — i rzucać slogany. Wszystko to fikcja na papierze, a fakty mówią coś innego.

Postaram się bодаć w krótkich zarysach przedstawić los DP w Austrii. Tutaj sprawy mają się daleko gorzej aniżeli w Niemczech. Niemcy są bądź co bądź krajem pobitym, okupowanym, a Austriaków uważa się za coś całkiem innego. Tu już nie są Niemcy, ale „pokrzywdzony biedny naród austriacki”. Czytamy to niemal każdego dnia na łamach gazet austriackich prawie wszystkich odcieni. Za taki też jest uważany przez zachodnie mocarstwa. Sami zaś Austriacy nie mogą zrozumieć, że jeszcze do tego czasu nie zaliczono ich w poczet „aliantów”.

Toteż z niemalym tupetem pozwalają sobie na wszystko, co chcą, a już nie ma prawie dnia, żeby w swych dziennikach nie pomieścili jakiejś złośliwej notatki na DP, przypisując im wszystkie winy i nieszczęścia, jakie na „biedną niewinną Austrię” spadają.

W rzeczywistości zaś czerpią nie małe korzyści z tych „intruzów”. Wielka bowiem część DP mieszka poza obozami prywatnie. Ludzie ci ze swojej całej nędzy muszą za wszystko słoć płacić, za mieszkanie, wyżywienie, odzież.

Mieszkam w Innsbrucku już z góry cztery lata i na podstawie obserwacji mogę dużo powiedzieć o austriackiej „biedzie”. Miasto było w 25% zhom-

bardowane; dziś po czterech latach wszyscyutęko odbudowano — daleko piękniej niż było. Zyski z DP też przyczyniły się do tego, natomiast ogromne dziury powstały właśnie w kieszeniach Dipisów. „Biedni Austriacy” od samego początku do teraz żyją za darmo, z pomocy materialnej z Zachodu.

Nie wiem czy na Zachodzie nie wiedzą, czy nie chcą wiedzieć, że Austriacy weale nie byli takimi niewinnymi barankami, ale świadomymi w 100% poplecznikami Hitlera. Trzeba było być w Polsce podczas okupacji. Na każdym kroku czy to w administracji, czy też w Gestapo spotykało się właśnie najwięcej Austriaków. Wystarczy przypomnieć sobie t.zw. rządy G.G. w Krakowie — począwszy od dr. Wachtera a skończywszy na najniższym funkcjonariuszu w urzędzie gospodarczym — wszystko Austriacy. Niemcy chętnie windowali ich na te stanowiska, przypisując im umiejętność rządzenia w krajach słowiańskich.

Naturalnie dzisiaj to zapomniano i oni u aliantów mają pełne prawa, podczas gdy DP faktycznie nie ma większych praw niż jeniec wojenny. Prasa austriacka nawołuje swych ziomków, by nie dawali pracy dipisom. Nie wolno dipisowi poruszać się między zonami bez specjalnego pozwolenia, podczas gdy Austriacy prawie już wiz do obcych krajów nie potrzebują.

IRO pośredniczy w sprawach przejazdów dipisów, którym udało się otrzymać zatrudnienie w innym kraju. Ale jak ta praca wygląda? Łopata, kilof i silne mięśnie, a to że nie jeden z tych „szczęśliwców” kryje za pazuchą dyplom doktora, inżyniera, profesora, ekonomisty — to nikogo nie obchodzi. Nowoczesny handel „żywym towarem” kwitnie na całego.

Poza tym IRO nie przejawia zainteresowania sprawami DP. Zdarza się nawet, że firmy angażujące robotni-

ków opłacają ich przejazd, a potem potrącają z zarobków danego robotnika — DP.

Jak wiadomo, według zarządzeń IRO, każdy DP musi do końca br. zdecydować się na wyjazd lub na pozostanie w Austrii. Ponieważ nie każdego Pan Bóg obdarzył silnymi mięśniami — wielu nie będzie mogło udać się do zamorskich krajów. Ludzie starsi, ludzie ze steranym zdrowiem na skutek cierpień pod okupacją hitlerowską, obarczeni rodzinami — nie widzą szans wyjazdu.

Nasuwa się kardynalne pytanie: Co się z tymi ludźmi stanie? Uważam, że całe uchodźcze społeczeństwo polskie powinno uczynić największy wysiłek, aby skłonić czynniki decydujące do znalezienia ludzkiego rozwiązania tej sprawy. Za mało było by wydzielac tym ludziom jakieś charytatywne datki i pozostawic ich w kraju nieprzyjzaynym, a do niedawna wrogim.

S.O.

Innsbruck.

... i z Niemiec

Rzadko polska prasa londyńska trafia do rąk DP w Niemczech i również rzadko w tej prasie spotyka się sprawy tychże dipisów. Składa się na to wiele przyczyn i może nie ma w tym winy ani prasy londyńskiej, ani samych DP. Toteż nie o tym chcę mówić.

Trafili mi do rąk nr 14 „Polski Walczący”, w którym z największą przyjemnością przeczytałem artykuł p. Zbigniewa Czech pt. „Czy doczekają?” Treść jak spod serca wyjęta. Tyle tam gorzkiej prawdy, prawie że bólu! Sporo bolączek tam poruszono — pragnę napisać o jeszcze jednej. Chodzi o pracę.

DP ACCS jest najbliższą władzą dipisa: jest komenda, zarządem jego obozu. Urzęduje jeśli nie w samym obozie, to w pobliżu. Lecz dla czego nie zatrudnia swoich dipisów, lecz — Niemców? Nie wiem, czy jest to zjawisko powszechne, lecz tak jest w tutejszym DP ACCS. Gdzieś w połowie roku 1948 przyjęto do pracy kilkunastu Niemców i to nie miejscowych, bo wożą ich samochodem z miasta odległego o 12 km — 4 razy dziennie: z rana, na obiad do miasta, z powrotem do obozu i po pracy znów do miasta.

W Niemczech obecnie bardzo trudno o pracę. DP jej nie otrzyma w przedsiębiorstwie niemieckim, więc nie mogą zarobić, jest skazany na głodowe porcje IRO. A tuż w biurach jego obozu pracują dobrze ubrani i odżywieni Niemcy. To razi i — boli.

Poruszam ten fragment naszego życia, zachęcony chętnym zamieszczaniem przez „Polskę Walczącą” głosów czytelników.

BRONISŁAW ZUK

Frille bei Minden.

Z KRAJU

BUDOWNICTWO MIESZKANIOWE

Wbrew szumnym i hulaśliwym oświadczeniom o tempie odbudowy, w dalszym ciągu budownictwo mieszkaniowe jest szczególnie w najbardziej zniszczonych częściach Polski zagadnieniem, które nie tylko że nie jest należycie realizowane, ale które nawet w dziedzinie planów rządowych na przyszłość zarysowuje się prawie niewidocznie.

Owszem, powstają wspaniałe gmachy. Powstał np. w Warszawie gmach, gdzie mieści się resort gospodarczy, buduje się Dom Robotniczy, chłopski, Dom Słowa Polskiego. Buduje się tu i ówdzie, a raczej odbudowuje się duże bloki mieszkalne. O budownictwie indywidualnym, o systemie budowy rodzinnych domków dotychczas nie było mowy.

Ostatnio powstało z inicjatywy pewnych instytucji t.zw. Towarzystwo Budowy Osiedli Podmiejskich, które zmierza do tego, by łuk wypelnic i by wreszcie stworzyć nie tylko system budownictwa indywidualnego, ale i plan osiedli podmiejskich.

Wątpliwe czy to Towarzystwo znajdzie poparcie reżimowych czynników. Owe czynniki bardzo nie lubią słowa: indywidualny. Poza tym w dużych blokach łatwiej jest każdego upilnować.

WEYSENHOFF ZAGROŻONY

Weyssenhoff został przez pewne sfery oficjalne w Polsce uznany za pisarza reakcyjnego, zgrubnego, którego dzieła należy wyrzucić z czytelni publicznych, gdyż deprawują czystość marksistowską.

Przedmiotem ataku w prasie była jego książka „Jan bez ziemi”. Szczególnie ostro komentowano takie zdanie ze wspomnianej książki: „Pochodził z Litwy, z możnej tam rodziny, dzisiaj ograbionej doszczętnie i wygnanej z dziedziczności”.

Na ogół pisarze, którzy umarli, byli zawsze, według tego co mówi propaganda, za reżimem. Wypadek z Weyssenhoffem jest jak dotychczas odso-

BIUROKRACJA

Biurokracja — ta zhora szarego człowieka — szczególne triumfy święci w systemie sowieckim, gdzie bezmyślność jest nieodłączną cechą całego życia.

Ten system przenika wraz z innymi „zdobyciami” na ziemię polską, gdzie zresztą znajduje przydatną glebę.

Oto na przykład urzędnicy pewnej instytucji kulturalnej na wybrzeżu mają nieładną szkołę do rozwiązania. Wyższe instancje nakazały im bowiem, ażeby przy żądaniu zwrotu należności za przejazd służbowe przedkładali w końcu każdego miesiąca wszystkie bilety tramwajowe i autobusowe w dwóch egzemplarzach. To samo zarządzanie mówi, że można ewentualnie zrobić uwierzytelniony odpis przejechanych biletów u reagenta.

Jeden z tych nieszczęśliwych urzędników wspomnianej instytucji, gdy mu nie chiano zwrócić należności za

przejazdy, posłuchał i poszedł do reagenta. Gdy wyluszczył sprawę, reagent puknął się w czoło i odsunął się na wszelki wypadek, gdyż jak później powiedział: „z wariatami nigdy nie wiadomo”.

Sprawa jest w dalszym ciągu nierozstrzygnięta, gdyż urzędnicy ci nie mogą w żaden sposób przedstawić przejeżdżonych biletów w dwóch egzemplarzach.

AMERYKA I SCISŁOŚĆ INFORMACYJNA

Doprawdy nie ma takiej zbrodni, takiego zwyrodnienia, takiej potworności, których by reżim nie przypisał Stanom Zjednoczonym. W tym antyamerykanizmie istnieje pewien monotonny szablon. Niektóre jednak pisma zdobywają się na oryginalność i w myśl zasad przodownictwa pracy, przewyższają narzuconą normę. Do tej kategorii „przodowników pracy dziennikarskiej” należy pewien dziennik, który pisał o wzroście przestępczości w USA. Według tej notki w roku 1948 popełniano w Ameryce 3 zbrodnie na minutę. Ale w tym samym artykule nieco dalej ten sam „rekorzysta” napisał, że już co 18,7 sekund popełniono jakieś przestępstwo.

Trudno się tylko domyślić w ilu procentach ów dziennikarz, który to pisał, wykonał swoją pracę ponad normę.

GMACH CIWF-u ODBUDOWANY

Prawie całkowicie został odbudowany gmach CIWF-u na Bielanach. Gotowe są sale wykładowe, czynne pracownie badawczo-naukowe. Odbudowano nawet wieżę ciśnień, dzięki czemu uruchomiona została krypta pływania.

Jak wiadomo w czasie wojny budynki CIWF-u zamienili Niemcy na koszary dla lotników. W chwili opuszczenia Warszawy budynki te zostały wypalone i zburzone.

W akcji odbudowy CIWF-u brali również udział studenci Akademii Wychowania Fizycznego.

MANIFESTACJE

Po uroczystościach pierwszomajowych reżim ogłosił dla celów propagandowych liczbe uczestników w poszczególnych miastach. Według tych obliczeń w Warszawie w pochodach brało udział 350.000 ludzi, w Katowicach 300.000, w Łodzi 250.000, a na Dolnym Śląsku nawet dwa miliony.

Stąd wniosek, że w domu zostali tylko obłożnie chorzy i niemowlęta. Reszta musiała maszerować w pochodach. Oto jak zawrotne rezultaty można osiągnąć działając rozkazem przemysłem, strachem.

NARESZCIE ZNALEZLI MIEJSCE

Przez długi okres czasu „demokratyczne” władze st. m. Warszawy nie mogły się zdecydować, gdzie należy postawić pomnik księcia Józefa Poniatowskiego. Wreszcie po trzech latach zdecydowano, że pomnik ten stanie na skwerze przed pałacem Prezydium Rady Ministrów.

STAŻA

Początek niedoli „dipisa”



Lapanka w polskim mieście w 1943 r.

NAJDALSA I NAJMNIEJ ZNANA

Drogi Przyjacielu, czy przypominasz sobie, jak miesiącami lamaliśmy sobie głowy: Dokąd „skoczyć”? Jeździłmy palcem po mapie zawiadając o każdy kraj, o każdą wyspę, aby tylko była najdalsza i najmniej znana, bo doszliśmy do wniosku, że tam będziemy mogli trochę nabrać tehu, kto wie czy nie przed dalszą wędrówką.

Tymczasem powstała możliwość wyjazdu do Australii. Nie namyślając się długo, zdecydowałem się zmienić Wielką Niedźwiedzie na Krzyż Południa. I oto jestem w Australii.

Nie będę Ci opisywał podróży, Morza Czerwonego, Oceanu Indyjskiego, bo już to wszystko poznałeś z innych reportaży w „Polsce Walczącej” (w ub. roku). Zawińmy więc po blisko miesięcznej podróży morskiej do portu Fremante na pd.-zach. wybrzeżu Australii. Tam właśnie dołączyli do nas przedstawiciele Hydro-Electric Commission wraz z komisją lekarską. Badania te przypominały wojskowe przeglądy. Poza tym wymieniono nam funty angielskie na australijskie. Różnica kursu jest taka, że za 20 s angielskich otrzymuje się 25 australijskich, chociaż wartość tych ostatnich jest tutaj większa.

Przedstawiciele H. E. Commission wybrali wśród Polaków z mojego transportu ok. 300 osób — i mnie w tej liczbie — do budowy zapory wodnej w Tasmanii. Chodziło przede wszystkim o takich, którzy mają pojęcie o stolarstwie, ciesielstwie, elektryczności itp.

Pozostali udali się do Sydney, skąd po pewnym czasie zostali rozesłani do różnych prac w poszczególnych stacjach. Według danych „The Courier-Mail” z 23 października 1948 r. w HEC (Tasmania) pracuje 850 Polaków, 51 — w Glen Davis Shale Oil (N.S. Wales), 175 — przy budowie linii kolejowej również w N.S. Wales, 80 — na tamie w Wariagamba, 59 — na plantacjach trzciny cukrowej w Queensland.

Moją grupę wysłano na ląd w Hobart, stolicy Tasmanii, gdzie podczas blisko 2-tygodniowego pobytu w obozie przejściowym załatwiliśmy różne formalności, jak rejestracja, demobilizacja itp. Tam podzielono nas na kilka grup i rozwieziono do poszcze-

gólnych obozów pracy: Bronte Park, Waddamana, Butters Gorge. Prócz tego Polacy pracują także w Tarraleah.

TROCHĘ HISTORII I GEOGRAFII

Zanim jednak opiszę jak żyjemy, mieszkaamy i pracujemy, pozwól, że Ci po krótko opowiem o Tasmanii. Wyspa ta została odkryta 24 listopada 1642 przez Holendra, który się nazywał Abel Janzoon Tasman. Przez długi okres czasu nikt się tą wyspą nie interesował. Dopiero w r. 1772 odwiedził ją francuski kapitan Marion du Frese, następnie Furneaux (1773), który był członkiem wyprawy kapitana Cooka. Kapitan Cook osobiście udał się na Tasmanię w roku 1777. I znów wiele czasu upłynęło, bo dopiero 7 października 1803 r. na wybrzeżu koło dzisiejszego Hobart został rozbity obóz pierwszych osadników.

Tasmania początkowo, tak jak zresztą i Australia, była miejscem zesłania. W roku 1852 wstrzymano wysyłkę więźniów i od tej pory Tasmania zaczęła się stopniowo kolonizować. Z tubylcami załatwiono się w ten sposób, że po krótkich walkach przeniesiono ich na Cape Barren, wyspę położoną na morzu Tasmania.

Tasmania jest oddzielona od Australii „kanalem” o szerokości 140 mil. Kształtem swym przypomina trójkąt, a jej powierzchnia wynosi 26.215 mil kw. Wliczając w to również pobliskie małe wysepki, Tasmania jest górzysta, szczególnie w zachodniej i środkowej części. Góry są starsze od wszystkich tych, które powstały w okresie wydźwignięcia się Alp. Najwyższy szczyt nazywa się Ben Lomond i posiada 5160 stóp (najwyższy szczyt Wysp Brytyjskich: Ben Nevis jest o 754 stóp niższy). Oczywiście wysokość Ben Lomond nie umywa się do szczytów alpejskich, a co dopiero mówić o himalajskich, ale trzeba uwzględnić sędziwy wiek gór tasmańskich, Bóg wie jak długo niszczonego przez wpływy atmosferyczne (eroję).

Tasmania posiada naprawdę wspaniały klimat. Opady są duże, ale nie równomiernie rozłożone. Największe w zachodniej części, gdzie dochodzą do 100 cali, gdy Hobart ma zaledwie 24 cali rocznie. Zimy śnieżne, bardzo

łagodne. W lecie nie ma silnych upałów. Tasmanię nazywają „Szwajcarią południa” i nie ma w tym przesady. Średnia temperatura w Hobart wynosi 54,4 stop. F. Miesiąc luty jest ogólnie najgorętszy i jego średni maksymalna wynosi w Hobart 71,3 stop. F.

ZWIERZĘTA, LUDZIE I SKARBY

Tasmania jest rajem dla myśliwych i choćbyś przedtem nigdy nie okazywał żyłki myśliwskiej, odczujesz się z pewnością: taki bowiem jest tutaj ogrom zwierzyńcy i ptactwa. Przedziwnego: papugi zielone i czarne, jakieś sępy, orły itp. A zwierzyzna? Czego tu nie ma: „diabły tasmańskie” — czworonogi o potężnie rozwiniętych szczękach, „tygrysy” wiel-

T. CHOROS

Z „polskiej” Tasmanii

kości cielaka, podobne do psów, z pręgami poprzecznymi na tylnej części tułowia, kangury (mniejsze od australijskich) tak liczne, że wprost potykasz się o nie, dzikie koty, opisy, platypusy, jakieś szczury ogromne, jeże niepodobne do naszych — same osobliwości. W rzekach i strumieniach moc pstrągów. Wreszcie — nie drżym, proszę: — 220 gatunków węży, wszystkie jadowite! W lecie spotykamy je często, ale dotychczas nie było żadnego wypadku. Króliki są plagą w całym tego słowa znaczeniu: wyrządzają ogromne szkody, mimo siatek, którymi farmerzy ogradzają swoje pola.

Na tej tak ciekawej i zasobnej wyspie mieszka około 300.000 osób. Stolica Hobart liczy 70.000 mieszkańców. Miasto jest pięknie położone u stóp gór Wellingtona (4166 stóp) i posiada doskonały port. Drugim z kolei miastem jest Launceston: 35.000 mieszkańców. Sieć dróg żelaznych i kolejowych na wyspie nie jest rozwinięta.

Południowo-zachodnia część Tasmanii jest jeszcze mało zbadana i może kryć w sobie wiele drogocennych kruszców. Również wiele jeszcze szczytów górskich czeka na zdobywców. Na wyspie są złoża miedzi, cynku, cyny, złota, ołowiu, srebra, wolframu, wapnia i węgla. Olbrzymie, niezamieszkałe przestrzenie pozwalają na hodowlę wielkiej ilości owiec, bydła itp. Są tu sławne, przepiękne sady owocowe, plantacje chmielu, wspaniałe farmy, które dzięki klimatowi przynoszą właścicielom doskonałe plony.

Wreszcie na Tasmanii jest obfitość rzek i jezior. I właśnie tutaj HEC buduje zapory wodne, kanały, drogi, elektrownie. Pierwsze prace w tym kierunku rozpoczęto w roku 1914 na Great Lake, które znajduje się mniej więcej na środku wyspy, na wysokości 3.300 stóp.

WYRUSZAMY W NIEZNANE

Jak już wspomniałem blisko dwa tygodnie załatwiliśmy formalności w obozie przejściowym w Hobart; w końcu „skończono” nas i jazda dalej! Byliśmy ogromnie ciekawi, jak będzie wyglądała nasza praca, mieszkanie, okolica itd. Nie mieliśmy absolutnie żadnych wiadomości ani przed wyjazdem, ani po wyjeździe, jedziemy więc zupełnie w ciemno.

Załadowano nas do autobusów (graty poszły osobnym wozem) i ruszyliśmy. Pamiętam jak dziś: słońce wspaniale grało, transport przypominał wycieczkę nudystów. Wszyscy zadowoleni, bo ciepło i syto.

Z początku humory dopisywały, ale w miarę czasu, twarze zaczęły się nam wyciągać. Cóż u licha! Na księżyc jedziemy? Szosa najpierw dość szeroka i asfaltowa, potem wąska, pełna dołków i wybojów, że koń by się schował, wije się serpentynami u podnóża gór, a raczej niebotycznych zwałow luźnych kamieni. Olbrzymie głazy, pokryte mchem, wilgotne, zwisają nad drogą, a z nich sączy się woda, wprost na drogę, tworząc na niej kałuże. Dżicz, pustka.

Autobusy pełną pod górę jak żuki, prawie przyklepione do ścian. Z lewej niebezpieczne nawisy, w szczylinach głazów jakieś krzaki, pokręco-

ne drzewa, z prawej — obrywy i rzeka gdzieś w dole, wyglądająca z tej wysokości jak strumyk. Jest to rzeka górską, pełna kamieni i wirów, z obu stron porośnięta lasem i gęstwiną krzewów. Płyń z hukiem, spieniona, przewalająca się przez gardziele wśród skał.

Czujemy się trochę dziwnie między tą ścianą z lewej, a przepaścią z prawej strony. Okolice coraz bardziej odludna. Przed nami, za nami, wokół nas góry, coraz wyższe i surowsze, lasy trzęsawiska, gęszcze — dżungla. Lasy nie przypominają naszych, przeważnie eukaliptusowe. Nie zmieniają liści na zimę, są wiecznie zielone, natomiast zmieniają kolor jak węże skóry. Kora zwisa z pni i gałęzi podobna do ogromnych strąków, pozwijanych w jakieś tubki, tulejki. Obok eukaliptusów widzimy wiele innych roślin, w ogóle nam nieznanych.

Już od godziny nie spotykamy człowieka. Gęstwiną lasu zamyka nasza droga, a raczej wąską drożkę. Jest coraz chłodniej i wilgotniej. Wtulamy się w płaszcze, lecz nie chronią od zimna. A przecież przed dwoma godzinami pławiliśmy się w upale. Chmurzy ciężkie, szare, skłębione, czepiają się wierzchołków drzew, strzępią się o nie i ociekają deszczem. Siąpi jak w Zakopanem. Autobusy pilują cały czas na drugim biegu, cierpliwie pnąc się pod górę.

Złość nas ogarnia i zniechęcenie. Nikt nie mówi, wystarczy spojrzeć na sąsiada, aby zarazić się przygnębieniem. Naraz za zakrętem widzimy kawałek wolnej przestrzeni, a na niej półtrziunowane ogrodzenie z pni — to zagroda dla bydła. A dalej, oparty plecami o ścianę lasu, stoi domek. Mały, niezgrabny, sklecony z pni i desek. Wokół niego zabudowania, również prymitywne i rozpadające się. To mieszkanie „bushmana”. Przyglądamy się nam przez okno nie większe od teczki uczniowskiej. Potem opuszcza swój domek i podchodzi do nas. Jest zarośnięty, czapka ze złamanym daszkiem, wokół kilka psów. Jadąc dalej spotykamy duże stado owiec i bydła, prowadzone przez jeźdźców otoczonych psami.

(Dokończenie nastąpi)

STEFAN LEGEŻYŃSKI

W I E R S Z E

Dzień radości

Dom przyskrzypiał powitaniem zlocistą drogą,
Chmurami napęczniał szary plusk strumyka,
chwiejba dukatów brogu.
Jej wzrokiem rozbiegły się bure chaty w taniec,
młyn wychynął ciekawie —
wierz zielonych jeniec.
Świecą policzki brązowe cicho,
we włosy się zanotat cichy kolisty gniazda,
klekocą dlonie ugięte w płaskim błękiecie.
Śpiewają okrągłością zgrzebną biodra,
stopy w proch się wgniatają dzisiejszym przeżyciem.

Maliny ...

Puszycie idą myśli przez brzozy zastęp,
Od miasta czerwieniącego w fiolet zaniku,
Do wsi białej — czarnych sosen rząd —
Krzewy malin ustami Twymi krwawią się cicho.

Traw ciemnych woni — Twe włosy o zmierzchu,
Calowane granatową zadyszana ulicą pod wysokimi pniami,
Strumyka śpiew — szept Twój — w srebrnym deszczu,
Ruch gałęzi z jaru dźwięczy Twymi stępaniami.

Białe pnie poklęty błękitną czelusć,
Brzozowe sukienki szeleszczą. Rozpływają się
Centkami zielone dekoracje chybotliwych liści —
— Na scenie bez Ciebie — miesiąc wschodzi uroczysto!

Bzy ...

Krzew bzu fioletem świeci w zamglonym powietrzu,
Zjawiskiem wytryskując spośród starych murów,
Drzewokwiaty przedziwne, bukiety płonące —
Nad krytą mechami cegłą — kolorowa chmura.

Staw ...

Szklivo tężowe i wypukłe,
Calowane ustami słońca,
Szyja labędzia biało-smukła
Co płynąc zjawą kręgi trąca.

Pyski jelenie przytulone
Do zimnej strugi pełnej cieni.
Na szczytach drzew wrzeszczące wrony,
Zielenią mokrą bór się mieni.

Petworth, 3.IX.1948.

Londyn

Gdy nad Londynem szary całun
chmury i dymów — to poranek.
Gnąją pociągów zwidy białe
i odjeżdżają ukochani

W południe słońce miecz skrzydlaty
wbija w opary i wylata
domy w budowie, dźwigi, kraty
wniesione w chmury — owoc pracy.

Wieczorne okna, niebo z wosku,
płonące światła tak ukojne.
Wnoszą się dymy jak nad wioską.
To właśnie Londyn — miasto
znajomych!

Sosny ...

Jeźdźcy zieleni,
chwiejcy konie,
na szczytach sosen
— w szerokim skłonie.

Radosne Tobą,
oczekiwaniem,
Obtoki — siostry
z wiotkim ramieniem.

Czasem liść stuknie
na ścieżki złociste.
Może to krok Twój?
— Serce rytm traci.

Drogi są martwe
a serce zbawia
u bram zawartych
łaska listowia.

Pierwsza pod słońcem ...

Kiedy mi oddasz na własność Maleńka
swe usta? — przed Tobą kłękam.
Kocham paluszki Twe Maleńka,
rączki — przed nimi kłękam.
Rajski oval pod burzą włosów,
który mnie wieździe w niebiosach.
Błysk wysoki — szafir płonący
miłością — pierwsza pod słońcem!

Monachium i Wiedeń w Londynie

Pinakoteka monachijska i Muzeum Historii Sztuki wiedeńskie, dawniej Imperialne, przyjechały do Londynu. Rzecz nie do pomyślenia jeszcze przed wojną dziś jest prawdą. Wchodzący w nową epokę muzealnictwa. Całe zbiory, wielkie kolekcje nie są już przywiązane do miejsca... Zbiory wędrują nie tylko w ramach państwa (np. muzeum z Lionu przyjeżdża do Paryża), ale największe zbiory państwowe jeżdżą do stolic innych krajów. Wiedeń i Monachium robią turę: Holandia, Francja, Anglia i prawdopodobnie Stany Zjednoczone.

Owe wędrowki galerii obrazów poprzez granice to ostatnia inowacja naszych czasów. W dalekich planach i niedosięgniętych jeszcze dziś projektach mówi się o państwie światowym, snuje się marzenia o Europie, o Świecie całym bez granic celnych. To wszystko jest bardzo dalekie...

W sferze kulturalnej granice zawsze były mniej uszczelnione, teraz, jak się wydaje, zaczynają się wręcz rozstępować. Zbiory upowszechniają się coraz bardziej. W wypadku galerii wiedeńskiej i monachijskiej sprawa ma specjalny posmak. Niemcy i Austriacy silą się na pokazanie swej europejskości, swej starej tradycji i kultury wieków. Niemcy chcą wykazać swą dobrą wolę przez usłudze wypożyczanie swoich zbiorów. Przypuszczam, że obok dużego zresztą dla nich znaczenia propagandowego całe to przedsięwzięcie ma jeszcze jeden aspekt: Niemcy starają się trzymać swoje zbiory najdalej od swego kraju.

Obie galerie mają najbardziej typową historię. Wiedeńska powstaje w wieku XVI jako prywatna kolekcja Habsburgów, monachijska — Wittelsbachów. Gust poszczególnych zbieraczy grał tu oczywiście zasadniczą rolę. Poszukiwano wówczas do kolekcji przedmiotów oryginalnych i specjalnie kunsztownie wykonanych. Według tego klucza do kolekcji wchodziła zarówno gąbka, ładnie rzeźbiona skrzynka, jak i obraz Dürera. Breughel znalazł się w kolekcji jako osobliwość, niektórzy Tytany i Corregia dzięki upodobaniu Rudolfa II do obrazów o posmaku seksualnym.

W XVII—XVIII wieku w Monachium i Wiedniu powstają zbiory w nowoczesnym pojęciu. Składają się one z kolekcjonowanych osobliwości, odziedziczonych oraz skupowanych coraz bardziej planowo dzieł sztuki.

Galeria wiedeńska specjalizuje się w weneckich malarzach oraz zakupuje całkiem nieoczekiwanie jak na ówczesne gusty zbiór prymitywów niderlandzkich. Monachium posiada najwspanialsze Rubensy. Właściciele kolekcji mieli swych agentów w stolicach zachodniej Europy, którzy nabywali dla nich co najciekawsze okazy.

Obrazy wisiały w owym czasie na ścianie łączone w grupy według wielkości i koloru. Nikt się nie troszczył z jakiej pochodzą szkoły. Dopiero początek XIX wieku widzi galerie już zorganizowane, a zbiory uporządkowane chronologicznie. W owym czasie powstaje inowacja: kolekcja staje się

instytucją publiczną. Jest to zasadniczy zwrot w dziejach kolekcji, ponieważ zmienia się jej założenie.

Wiedeńska i monachijska galerie nie przyjechały w komplecie. Niektóre obrazy, szczególnie wielkie, stare, malowane na drzewie nie nadawały się do transportu. To co jednak przyjechało — jest bogactwem olbrzymim.

Z flamandów i holendrów Wiedeń ma Van Eycka; „Kuszenie Adama i Ewy” Hugo van der Goes jest pełne poezji i umiłowania natury, zachwyca jak wszystkie prymitywy świeżością koloru, wspaniałym stanem przechowania. Monachium może się poszczycić serią Direk Bouts, od którego „Pereł Brabantu” trudno się oderwać.

Romanistów — Mabuse, Lucas van der Leyden trzeba obejrzeć przed Rubensem, żeby zrozumieć skąd on wyrósł. Rubens jak zwykle oszalał; szczególnie ciekawe są jego szkice do Historii Marii Medici. Jest tam kilka bardzo ciekawych Van Dycków i wspaniały malarz Hals, którego nie można ominąć. Niestety cykl Rembrandta jest tak brudny, że trudno cokolwiek zobaczyć.

Niemieckiej szkoły jest dużo — obie kolekcje mają jej najpiękniejsze okazy. Tryptyk Baumgarten Dürera ściągają tłumy. W szkole hiszpańskiej kontrastują mocą swych różnic Velasquez, mistrz tak pewny, że aż bezosobowy, i Goya pełen pasji w niezapomnianych małych szkicach „Pojedynki” i „Człowiek zraniony”.

Obie galerie mają szkołę włoską reprezentowaną bardzo bogato. Z okazów prymitywów włoskich trudno wnieść o nich pojęcie. Egzemplarze Giotta, Fra Angelica, Botticelliego nie należą do najlepszych. Natomiast z

jednego Perugina i Raphaela można mieć próbkę ich klasy. Dwa obrazy Correggia zamykają wszystkie cechy osobowości tego artysty — neurotyzm, słodycz, złamaną, zmanierowaną gamę kolorów. Caravaggio ma również wspaniały okaz w „Madonnie z Rozarium”. Cała koncepcja i konstrukcja obrazu, kolor i brutalny światło-cień są jak najbardziej charakterystyczne.

Obie galerie mają malarzy weneckich najwcześniejszych i najpiękniejszych ich dzieł. Można iść od obrazu do obrazu i śledzić rozwój malarstwa w tym jednym na świecie mieście. Giovanni Bellini, Giorgione, Tycjan, Tintoretto... Sam Wiedeń ma 15 Tycjanów. Wszelkie typy jego twórczości: kompozycje religijne, sceny mitologiczne, portrety oficjalne i nieoficjalne.

„Zuzanna w kąpiel” Tintoretta jest z różnych Zuzann tą najwspanialszą, portrety zaś po mistrzowsku mówią wszystko o modelu.

Vironce wiedeńskie są jak zwykle olśniewające bogactwem, ale nie ma w nich owej samostajnej wielkości geniusza Tycjana i Tintoretta. Obie wystawy trzeba oglądać wiele razy, żeby się oswoić z ich bogactwem.

Warto bez jazdy do Monachium i Wiednia obejrzeć w Londynie dwie kluczowe galerie europejskie.

HANNA LERSKA

OD REDAKCJI. Wiedeńska galeria jest wystawiona w Tate Gallery, a monachijska w National Gallery. Zachęcamy gorąco wszystkich polskich londyńczyków do skorzystania z tej rzadkiej okazji obejrzenia wielu arcydzieł malarstwa światowego poza miejscem ich stałego „pobytu”.

TEZY IDEOWE SPK

UCHWALONE PRZEZ II WALNY ZJAZD DELEGATÓW

W poprzednim nrze „Pol. Walcz.” zażyczyliśmy wytyczne ideowe, uchwalone przez Radę Główną SPK na dorocznym jej zebraniu w Londynie. Wytyczne te powołują się na tezy ideowe uchwalone przez II Walny Zjazd Delegatów SPK.

Wszyscy członkowie SPK powinni znać te tezy. Oto ich brzmienie:

I. SPK — jest zrzeszeniem żołnierzy, którzy z wiarą w budowę lepszego świata, wykonywali swój obowiązek na polu walki w obronie wolności człowieka i narodów.

SPK — zrzesza żołnierzy, idących śladami najlepszych tradycji Polskiego Wojska, które było się na wszystkich frontach świata „za naszą i waszą wolność”.

II. SPK — jest zrzeszeniem obywateli, którzy pełnią dalej swą służbę zmierzając do tych samych niezrealizowanych dotąd celów, choć ofiarne spełniać swoje obowiązki wobec Ojczyzny.

SPK zrzesza żołnierzy, którzy, żyjąc na obczyźnie, dbają o zachowanie ducha polskiego i kultury narodowej.

III. SPK — jest zrzeszeniem żołnierzy — obywateli, wyznających zasady,

na których oparta jest chrześcijańska kultura i cywilizacja.

IV. SPK — jest zrzeszeniem żołnierzy, którzy ozerpią swe s'ly z wiary w urzeczywistnienie zasad sprawiedliwości i prawa w pozości między narodami.

V. SPK — jest zrzeszeniem podrywającym tradycje żołnierzy Wielkiej Emigracji, w ich pielgrzymstwie do Wolnej Polski poprzez różne strony świata.

VI. SPK — jest zrzeszeniem, którego członkowie zachowują przyjazny stosunek do społeczeństwa udzielającego im gościnę.

VII. SPK — jest braterskim zrzeszeniem b. żołnierzy polskich, którzy są przyjaciółmi swych towarzyszy walki o wspólne cele.

VIII. SPK — jest zrzeszeniem polskich żołnierzy, którzy przyjęli na siebie obowiązek niesienia pomocy wszystkim polskim uohodźcom i ich organizacjom.

IX. SPK — jest demokratycznym zrzeszeniem kombatanów, zorganizowanych na zasadach samopomocy dla realizacji wspólnych zadań społecznych.

X. SPK — uznaje potrzebę swobodnej, twórczej myśli społecznej i politycznej.

Pamiętnik angielskiego marynarza: Wyprawa polarna

ROZDZIAŁ I. ODJAZD

Liverpool. 12 kwietnia. Godzina 9 rano.

Podnosimy kotwicę i odbijamy od brzegu. Na brzeg wylęgo całe miasto, by widzieć odpływający nasz statek. Wszyscy mieszkancy, nie wyłączając kobiet, dzieci, starców i kalek powiewają ku nam chusteczkami od nosa, ręcznikami i koszulami.

Przed wyruszeniem żegnali nas ministrowie żegluga z małżonką i reumatyzmem, orkiestra Armii Zbawienia oraz Mr. Plups — agent jedynego towarzystwa ubezpieczeniowego, jakie zgodziło się zaasekurować nas od wypadków. Biedny ten człowiek, najbardziej ze wszystkich wzruszony, szczególnie życzył nam szczęśliwej podróży.

12 kwietnia. Godzina 15 po południu. „Brigida” płynie na pełnym morzu, pod pełnym żaglem i głównym masztem. Pachnie silna morka i machorka. Cała nasza marynarska bród, dawać i nie pytać, jest jednak pełna najlepszych nadziei.

ROZDZIAŁ II. NA MORZU

14 kwietnia. Sprawdzam teodolit, sekstans i rododendron. Na kompas natomiast wcale nie patrzę. Jedziemy przeciw dobiegu prądu, wskazujący stale północ?

Próbowałem to wytłumaczyć kapitanowi, lecz nie dał się przekonać.

16 kwietnia. Jedzenia mamy pod dostatkiem, a wodę pod statkiem. Również lodu mamy jak lodu, aczkolwiek nie ma obawy, byśmy się zgrzali. Wszystkiego zatem jest w bród. Kapiemy się często, gdyż higiena jest podstawą zdrowia.

Marynarze myją statek, a kucharze myją statki.

18 kwietnia.

Oplwamy wyspę Honoraty, której lewa odnoga wrzyna się w morze daleko na północ. Każdy z nas pisze listy do rodziny, gdyż nasi bliscy są tacy dalecy!

19 kwietnia.

Znajdujemy się na osiemnastym stopniu, czyli schodku szerokości geograficznej. Zaczynają panować chłody. W nocy barometr spadł. Próż barometru spadł ścienny zegar oraz lampa, wskutek gwałtownego chybotania okrętu.

ROZDZIAŁ III. BURZA MORSKA

20 kwietnia. Nadciąga straszliwa burza. Sztorm, bryza, orkan i parkan. Obawiam się, że zaleje burzę i kil. Pompy nie działają, gdyż w ostatniej chwili przed wyjazdem zapomnieliśmy je z sobą zabrać. Szalupy i liny trzeszczą. Ulewają siecie.

— Wszyscy pod parasole! — brzmi rozkaz dziarskiego kapitana.

22 kwietnia. Deszcz nie przestaje padać. Obawiam się, że zamokną mi zapalki.

24 kwietnia. Nareszcie burza szczęśliwie przemija, nie czyniąc nam większej szkody. Zerwane tylko zostały bukspryty, haktopse, fokaszasty i rollmopsy. Bierzemy się ochotczo do ich naprawy.

ROZDZIAŁ IV. NA LĄDZIE — W GOŚCINIE U DZIKICH

26 kwietnia. W celu nabrania w beczki słodkiej wody, zarzuciliśmy kotwicę w zatoce Sacra Scumbria u stóp półwyspu, zamieszkanego przez eskimoskie plemię Pitii-Pitii. Niestety, słodkiej wody nie było. Nabraliśmy tedy zwyczajnej, przyrzekając sobie pocukrzyć ją na okęcie.

Kacyk plemienia Pitii-Pitii jest bardzo miłym dzikusiem i nadzwyczaj gościnnie nas przyjął. Aczkolwiek analfabeta, pozwolił jadącemu z nami reporterowi „Timesa”, sfotografować się z egzemplarzem gazety w ręku. Następnie Eskimosi zatańczyli na naszą cześć swój narodowy taniec: „Ficay-Ficay”, przy dźwiękach banjo, tam-tam i tu-tu. Taniec tych dzikusów nie różni się niczym od europejskich tańców salonowych. Tańczą jednak tylko mężczyźni,

gdyż kobiety obarczone są dźwiganiem na plecach noworodkami, które w czasie skocznych pływów doznałyby wstrząśnienia mózgu. Dzieci te do czwartego roku życia nie wychodzą ze skórzanych sakiew, zawieszonych na matczynych barkach. Niestety kobiety plemienia Pitii-Pitii obdarzone są wybitnie małymi piersiami, siedzące przeto w workach niemowlęta zmuszone są ssać pokarm przez umyślnie zainstalowane słomki. W połączeniu z ciemną barwą skóry krajow-



ców oraz panującym w tym podbiegunowym kraju silnym mrozem, okoliczność ta zmusza maleństwa do picia nie mleka, lecz mazagranu.

Szczerze i radośnie żegnani przez tubylców odjeżdżamy wkrótce w dalszą drogę.

28 kwietnia.

I znów płyniemy, a wraz z nami płynie czas i mała barka krajowców.

ROZDZIAŁ V. DO BIEGUNAI

2 maja. Wyplwamy na Ocean Antarktyczny. Coraz mroźniej. Zwały lodowe raz po raz ocierają się o reje. Mimo to niezmordowanie płyniemy dalej.

4 maja.

Mrozy straszliwie! Termometr rtęciowy pękł. Termometr spirytusowy został wypity przez Dicka, amerykań-

skiego marynarza naszej załogi. Ach, ci alkoholicy!

5 maja.

Jesteśmy zupełnie pozbawieni ciepła, a właściwie: zimno-mierza. Radzimy sobie w ten sposób, że chuchamy w powietrze: ukazują się małe obłoczki pary, z którego wnioskujemy, że jest mróz.

6 maja.

Wczoraj do konserwowego mięsa z puszek zabrakło nam przyprawy. Rozeszliśmy iskrą depesze: S.O.S. Sos! Natychmiast przysłać sos!

ROZDZIAŁ VI. UWIEZIENI

7 maja.

Nad ranem „Brigida” utknęła w lodach polarnych, jak wafel w śmietankowych. Kapitan oznajmił, że przepędzimy tu kilka miesięcy. Z nudów uczymy tańczyć białe niedźwiedzie przy dźwiękach gramofonu. Oczywiście wybieramy tylko samice, pragnąc z nich zorganizować zespół „Polar Girls”.

9 maja.

Zapada długa, podbiegunowa noc. Atrament w moim wiecznym piórze zamarał na olówek. Z trudem, w zupełnej ciemności nocy piszę mój marynarski dziennik. Koledzy, słysząc, że w nocy piszę dziennik, zapytali co będę pisał w dzień, po czym chcieli mnie pobić do krwi. Szczęśliwie skończyło się na groźbach.

11 maja.

Z bocianiego gniazda uciekł nam dziś bocian. Zapewne do ciepłych krajów poszybowała ptaszyna.

12 maja.

Nieszczęśni giniemy! Radioodbiornik zamilkł, jesteśmy odcięci od świata. Psy do ciągnięcia sanek zjedliśmy wraz z uprzedz. Głód zagląda nam w oczy i do żołądków. Konserwy całkowicie wyczerpane. Również całkowicie wyczerpany jest intendent Kon oraz szwajcarski ser. Jedynie pozostał: wy, drodzy, a tak dalecy ziomkowie.

13 maja.

Rezygnacja! Rozpacz! Oblęd! Nasz

okrętowy palacz, Czech Franz dostał napadą szaleństwa i rzucił się na fokę. Kapitan potrafił mu z tej przyczyny część dziennego łonu (lon-płaca marynarza — przypisek znalazcy rękopisu) przypuszczając, że fokę wnieśli do admiralicy skargę o alimenty. Mimo to Franz zapowiada, że nie daruje pingwinom.

15 maja.

Dziś zabrakło nam sucharów, ptasiego mleka i niebieskich migdałów. Zgroza.

16 maja.

Znów chwycił przymrozek. Nosy odmarzają nam tak, że stałe musimy je sobie przymarzać z powrotem. Z oddali co chwila dolatuje naszych odstaających uszu huk trzaskającego mrozu.

17 maja.

Epidemia! Wśród załogi straszliwie poczyną grasować koklusz i jakiś dziwny podbiegunowy katar, objawiający się ustawicznym kichaniem.

18 maja.

Ukochany Peterson umarł dziś w nocy na katar. Zmarł biedak na kość. Gdy obłąkany palacz Franz dowiedział się, że Peterson zamienił się w kość, zaprzagnął zagrać w kości. Szaleńca odpędziliśmy żelaznymi drągami.

ROZDZIAŁ VII. URATOWANI

21 maja.

Ocaleni! Wybawieni! Nasz pokładowy bosman, Holender Van Clempa, spadając z drabiny, wpadł na świetny pomysł, który wszystkich uratował od niechybnej śmierci.

— Któż sprawdzi — powiedział Van Clempa, — że nie dotarliśmy do bieguny? Prędko, gdziekolwiek bądź zatkniemy napis: „Tu jest biegun” i dalejże wracamy do domu na cup of tea, bo wieje tu nie na żarty!

Posłuchaliśmy mądrej rady i oto chyżo rozpięliśmy główne żagle i wszystkie majtki, t.j. całą załogę, majestatycznie skierowała „Brigida” ku spokojnym wybrzeżom Tasmanii.

TADEUSZ WITLIN

W POLSKIM LONDYNIE

O niezłomnym bojowniku

W dniu 24 maja br. Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie urządził wieczór, poświęcony pamięci ppłka dra Lipińskiego, dyrektora Instytutu Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Przewodniczył gen. Bortnowski.

O młodości Wacława Lipińskiego i jego służbie w Legionach mówił płk Urych. Fragmenty pracy o Lipińskim odczytał w zastępstwie chorego autora — mjr Libelta, płk Moszczeński.

Wreszcie mjr Libelt omówił postać duchową ppłka Lipińskiego w czasie procesu, podkreślając jego niezłomność. „Ani jako człowiek, ani jako Polak, ani jako obywatel — nie czuje się winny” — oświadczył Wacław Lipiński „sądowi” w Warszawie mimo iż wiedział, że czeka go śmierć.

Na wieczór przybyło dużo towarzyszy broni bohaterskiego bojownika o wolność.

„Pojęcie Renesansu”

Staraniem Klubu Towarzyskiego YMCA odbył się w maju br. odczyt dra K. Lanckorońskiego pt. „Pojęcie Renesansu”.

Jak zaznaczyła prelegentka na wstępie, w prelekcji godzinnej można poruszyć zaledwie kilka aspektów tego niezwykle obszernego tematu. Toteż w sposób po prostu lapidarny wyjaśniła słuchaczom, że istotą Renesansu bynajmniej nie było odrodzenie starej, klasycznej kultury rzymskiej czy grecko-rzymskiej. Że Renesans był prądem duchowym, odkryciem świata i człowieka. Że t.zw. Wielki Renesans nie zawierał próby odnowienia imperium rzymskiego, gdyż nie był polityczny, aczkolwiek jego zainteresowania polityczne były ogromne. Wielki Renesans interesowała rzeszopolita rzymska — problem wolności człowieka.

Wielki Renesans wyrażali artyści, wybrańcy losu. Nie interesowała ich, jak w wiekach średnich, metafizyka, lecz człowiek i świat, przyroda.

Bardzo interesujący odczyt.

„Teatr i Widownia”

Ukazał się zeszyt drugi wydawnictwa Polskiego Teatru Dramatycznego pt. „Teatr i Widownia”. Na kredowym papierze, ładny układ graficzny, fotografie aktorów i autorów nowych sztuk oraz ich wypowiedzi o własnych sztukach.

W zeszycie trzy artykuły wybitnych piór: Zygmunta Nowakowskiego (jeden) i Tymona Terleckiego (dwa). Bardzo ciekawe „Noty teatralne”. Dużo ogłoszeń, które mogą się przydać.

„Teatr i Widownia” sprzedaje się wraz z włożonymi do środka programami sztuk, które w danej chwili idą lub pójdą w najbliższej przyszłości. Z programów dowiadujemy się, że PTD wystawia: „Znajdę” Romana Niewiarowicza i „Słoneczniki” Teodorczy Lisiewicz — sztuki, których w Londynie jeszcze nie grano. (Podobno też wkrótce ujrzymy Al. hr. Fredry komedię „Mąż i żona”, do której podkład muzyczny opracował Jan Markowski).

Szkoda tylko, że piśmko ma sporo błędów — ortograficznych, a nawet gramatycznych, jak na przykład: „...zwykle odbywały się po (?) dwa przedstawienia” lub „...ani nie krepują ją (jejj) więzy”.

„Osobliwości prawa brytyjskiego”

W ramach powszechnych wykładów uniwersyteckich Społeczności Akademickiej U. S. B. mówił w dniu 26 maja br. na powyższy temat dr Roman Kuratowski.

Przypominając, że w W. Brytanii dotychczas nie ma kodyfikacji ustaw, wyraził prelegent przypuszczenia, iż do tego nigdy chyba nie dojdzie. Wszelkie bowiem rozważania takiej możliwości wywołują zazwyczaj burzę protestów.

Zresztą, na ten temat wypowiedział się niedawno premier Atlee, który jest prawnikiem — adwokatem (barrister). Oświadczył on, że W. Brytanii zupełnie nie jest potrzebny logiczny system prawa. Może ono być sprzeczne z logiką, byleby nie kolidowało z życiem i zdrowym sensem (common sense).

Toteż w W. Brytanii jest ponad 16.000 ustaw, które obowiązują. Wśród nich są b. stare, bo nawet z XIII w. Poza tym obowiązują do pewnego stopnia wyroki poprzednie w podobnych sprawach.

Odczyt wypadł b. interesujący.

„Zagadnienie Niemiec a bezpieczeństwo Europy”

Na zaproszenie PRW-NID dr Stanisław Kudlicki wygłosił bardzo interesujący odczyt (w dniu 24 maja br.), omawiający ustosunkowanie się Niemców do reszty Europy.

Zwróciwszy uwagę, że niebezpieczeństwo niemieckie — mimo tylu ofiar drugiej wojny światowej — wcale nie przestało istnieć, zwłaszcza dla Polski: mówca za jedyne wyjście z sytuacji uważa stworzenie silnej federacji narodów, t.zn. państwa związkowego, na obszarze, który nazywamy Międzymorzem. Szczególnie jest to konieczne ze względu na definitywne odstąpienie od pierwotnych projektów rozczłonkowania Niemiec, Zjednoczenie bowiem narodu takiego jak niemiecki, którego liczebność dochodzi do 70 milionów głów, nie może nie wywołać niebezpieczeństwa.

Podkreślić należy, że dr Kudlicki od dawna zajmuje się zagadnieniem niemieckim, gdyż w Polsce był dyrektorem okręgu śląskiego ZOKZ, następnie dyrektorem centrali tego związku w Warszawie, a wreszcie pracował w dyrekcji zarządu przymusowego dóbr pszczyńskich.

„Oblicze chwili obecnej”

Staraniem Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych — odbył się w dniu 14 maja br. wieczór dyskusyjny z referatem pod powyższym tytułem. Referat wygłosił, przemawiając bez żadnych notatek, z nadzwyczajną swadą i w b. ciekawy sposób — dr Walerian Kwiatkowski.

W konkluzji swych wywodów — referent stanął na stanowisku, że jednym z pierwszych zadań naszej emigracji, wobec zagadnień kultury współczesnej, jest poznanie samych siebie. Drugie zadanie — to przeprowadzenie syntezy naszego dorobku kulturalnego.

W dyskusji, jaka się następnie wywiązała, poruszono cały szereg pokrewnych zagadnień.

„Sami swoi” w dyskusji

11 maja br. omawiano w Klubie Towarzyskim YMCA sztukę „Sami swoi”. Przemawiał dr Kielanowski (reżyser), J. Pietrkievicz (autor), a potem — cały szereg osób (ponad 10) roztrząsał zalety i wady sztuki.

Na ogół ocena wypadła dodatnio, choć były także głosy, które ustosunkowały się do „Samych swoich” raczej ujemnie. Wskazywano np., że oblicze wsi w sztuce jest ponure.

Przewodniczył dr Giergielewicz, który w swym ostatnim słowie również krytycznie ocenił sztukę. Dyskusja miała b. zajmujący przebieg.

J. Jastrz.

Inwalidzi

nadal służą sprawie

Tymcz. Komitet Inwalidów — oddział w Oak Lodge Camp zorganizował w swoim obozie w dn. 18 maja br. obchód V rocznicy zwycięstwa pod Monte Cassino.

Na obchód złożyła się msza żałobna za poległych, odprawiona przez katolickiego kapłana RAF-u, ks. Nor-tona, — oraz akademii, na której m.in. wygłoszono odczyt w języku angielskim.

W obchodzie wzięli liczny udział goście brytyjscy. A oto echo tego kombatanckiego dnia w prasie angielskiej.

„The Evening News — Portsmouth” w sprawozdaniu z tej uroczystości, pod nagłówkiem „Polacy wspominają dumny dzień”, przytacza fragmenty rozkazu wydanego przez gen. Alexandra, podkreślające wspaniałą postać wojenną żołnierzy polskich. Sprawozdanie kończy się cytacją z tego rozkazu: „Ten dzień jest dumą dla Polski. Salutuję polską chorągiew, dumnie powiewającą na klasztornej fortecy”.

Przy tej okazji warto nadmienić, że obchód 3 maja w tymże obozie inwalidów polskich również wywołał żywe odgłosy w prasie angielskiej.

„The Hants and Sussex County Press” podając sprawozdanie z obchodu podkreślił pełne patriotyzmu przemówienie komendanta obozu, rtm. Smokowskiego, a notatkę tę zaopatrzył nagłówkiem: „Their country still lives”.

Delegat inwalidów w USA

Z ramienia Tymcz. Komitetu Inwalidów w Londynie wyjechał do St. Zjednoczonych kol. Z. Wołyński. Weźmie on udział w zjazdach organizacji społecznych i kombatanckich Polonii Amerykańskiej, na które otrzymał zaproszenie.

Kol. Wołyński ma poruszyć sprawy: a) zainteresowania zagadnieniem inwalidów PSZ, przede wszystkim stworzeniem dla nich możliwości przeniesienia na teren stałego pobytu, przy pomocy Polonii Amerykańskiej, b) zorganizowania stałej pomocy materialnej dla inwalidów bez rent (AK i in., nie mających prawa do rent), c) zorganizowania rynków zbytu dla rzeczy wytwarzanych przez inwalidów, d) zapewnienia pomocy rodzinom i inwalidom w Kraju — tzn. akcji paczkowej.

Należy spodziewać się, że misja kol. Wołyńskiego wzbudzi zainteresowanie Polonii Amerykańskiej i przyczyni się do ulżenia ciężkiej doli inwalidów PSZ na obczyźnie i w Kraju.

Zjazd Oddz. SPK - W. Brytania

W dn. 27—29 maja br. odbył się w Londynie III Walny Zjazd Delegatów Kół Oddziału SPK — W. Brytania. Wzięło w nim udział 142 przedstawicieli, reprezentujących 106 Kół.

Obrazy otworzył przez Rady Oddziału kol. A. Jedziniak witając zebranych. Z kolei nastąpiły przemówienia powitalne. Jako pierwszy zabrał głos gen. W. Anders, przemawiając w imieniu Prezydenta RP oraz własnym, jako Inspektor Generalny PSZ. Następnie przemawiali: prezes Zjednoczenia Pol. w W. Brytanii inż. Różański, przedstawicielka centrali Tow. Przyjaźni Polsko-Brytyjskiej Miss Howard oraz przedstawiciele władz SPK — koledzy: T. Drwęski (Zarząd

Główny), J. Zawalcz-Mowiński (Oddział na okup. bryt. Niemiec), T. Zganiński (Oddział na okup. ameryk.), J. Rakowski (Oddział w Szwajcarii).

Wśród przedstawicieli duchowieństwa różnych wyznań był obecny J.E. ks. arcyp. Sawa. Poza tym w uroczystości otwarcia zjazdu wzięli udział: gen. T. Bór-Komorowski, jako prezes Rady Naczelnej Kola AK, gen. S. Kopański i szereg innych przedstawicieli organizacji i instytucji polskich.

Na przewodniczącego zjazdu wybrano kol. Zawadzkiego. Do prezydium powołano nadto kolegów: Malickiego, Heciaka, Bastera, Rogozińskiego i Bialka.

W części sprawozdawczej sprawozdania składali koledzy prezesi: A. Jedziniak (Rada Oddziału), E. Kozłowski (Zarząd Oddziału), S. Lewicki (Komisja Rewizyjna) i T. Dąbrowski (Sąd Koleżeński). Po obszernej dyskusji ustępującym władzom zjazd udzielił absolutorium.

W godzinach wieczornych i nocnych drugiego dnia zjazdu odbyły się prace w komisjach: Matce, statut-org., finans.-gosp. i program.-oświatowej. W trzecim dniu obrad na plenum komisje przedstawiły opracowane przez siebie wnioski. Odbyło także wybory nowych władz Oddziału.

W ramach zjazdu, w dn. 29 maja, w Domu Kombatanta urządzono dla uczestników zjazdu i gości wieczór towarzyski z występami „Niebieskiego Balonika” i wspólną kolacją.

Zjazd skończył się w późnych godzinach nocnych w dniu 30 maja. W następnym nrze „Polski Walczący” podamy omówienie zjazdu oraz listę członków nowo obranych władz Oddziału.

T.P.

SKRZYNKA POCZTOWA

Agentów — tępić!

Sprawa Mariana Kaczmarka, oskarżonego o prowadzenie akcji szpiegowskiej w W. Brytanii, organizowanej przez ambasadę warszawską w Londynie, zasługuje na szczególną uwagę Polaków w tym kraju, ponieważ może odbić się boleśnie na nas wszystkich.

Chociaż jest to wyjątek, musimy zastrzec naszą czujność. Ambasada warszawska jest bowiem w tym fortunnym położeniu, że może szantażować w wypadku, jeżeli ktoś zwróci się do niej w związku z rodziną przebywającą w Kraju. Moment ten znajduje się w zeznaniach Kaczmarka.

Tą drogą czynnik warszawski może usiłować tworzyć sieć szpiegowską z jednej strony, a z drugiej — dyskredytować nas wobec Brytyjczyków i rozbijać naszą zwartość.

W czasie ostatniej wojny zdarzały się wypadki, że szpiegzy przenikali do W. Brytanii pod płaszczykiem politycznych uchodźców z Kontynentu, ale w czasie wojny istniały też na Wyspach władze bezpieczeństwa poszczególnych alianckich państw i one pomagały w likwidowaniu działalności tego rodzaju.

Dzisiaj to zadanie spada na całe społeczeństwo uchodźcze, bo niestety gospodarze sami postarali się o rozluźnienie naszego życia zorganizowanego.

Mimo to nie wolno dopuścić, aby agenci nieprzyjacielscy wnikałi do polskich ośrodków. Każdego podejrzanego należy we własnym zakresie wytropić i oddać w ręce sprawiedliwości.

J.W.K.

[Nazwisko i adres znany redakcji]

Kombatanci, gdzie jesteście?

„Polska Walcząca” i „Dziennik Polski” tyle piszą o kołach kombatanckich powstałych w różnych częściach świata, a tu w naszej „rodzimej” Anglii, w pięknym Blackpoolu takiego koła nie ma.

Trzeba Ci, Zarządzie Oddziału SPK, wiedzieć, że tych niesfornych Polusów jest w tym szlachetnym grodzie przeszło 1000. I to jakich! — nie starych grzybów, lecz młodych chłopaków rwących się do życia i interesów. Toteż nie dziwnego, że każdy z nich jest albo kamienicznikiem, albo fabrykantem, albo farmerem „świńskim” (od hodowli świń). Ludzie ci wyjechali z Polski w wieku b. młodym i chyba mało pamiętają o święcie 3 maja. Każde jednak polskie święto narodowe obchodzone jest nabożeństwem. Toteż nie dziwnego, że 3 maja zgromadziło całą masę Polaków na obchód, który odbył się dzięki staraniom Towarzystwa Polsko-Angielskiego w przepięknie udekorowanej sali restauracji Casino.

Towarzystwo to istnieje przeszło 8 lat i chlubnie zapisuje w kronice miasta swoje dzieje. Zawdzięczać to należy w pierwszym rzędzie niestrudzonej energii i inicjatywie pp. Woodheada, Wardena, dra Simichia i Witwickiego. Ludzie ci oddają całą duszę sprawom Polski i Polakom.

Adolf Wołoncewicz

kombatant stary, bo z tamtej wojny.
10, Condor Grove,
Blackpool.

Wielka okazja

Zniżamy cenę na książkę Melchiora WANKOWICZA p. t.

„BITWA O MONTE CASSINO”

w trzech luksusowo oprawionych tomach.
Komplet obecnie tylko — 45/-
(z przesyłką) zamiast dotychczasowych 96/-.
Cena pojed. tomu obecnie — 17/6
(z przesyłką) zamiast dotychczasowych 32/-.

Centr. Składn. Książek SPK

57, EDBROOKE ROAD, LONDON, W. 9

Pomożesz rodzinie w Kraju,
wysyłając wartościowe artykuły

NYLONY-POŃCZOCHY

Dwa klipy białego nylonu 12/6, dwa klipy złotego nylonu 11/6

PIÓRA PARKER

LEKARSTWA

MATERIAŁY

na ubrania, płaszcze, suknie i kostiumy.
Próbki na żądanie. Wszystkie przesyłki pociągane lub ubezpieczone.
Zamówienia wykonujemy natychmiast po otrzymaniu należności.

BIURO PACZEK SPK

57, EDBROOKE ROAD, LONDON, W. 9.

Wyciąg

Zachować

POMOC DO POLSKI

najkorzystniej można wysłać przez

P. & B. Supply Centre Ltd.

Paczki z żywnością, odzieżą, obuwiem, spadochrony, pończochy nylonowe, koldry amerykańskie, pióra, torebki ze skóry i plastiku (bez podatku)

Cenniki bezpłatnie wysyła:

P. & B. Supply Centre Ltd.

56, Draycott Place, London S. W. 3

Towary do obejrzenia oraz zaopatrywanie obozów:

Sklep P. & B. Supply Centre Ltd.

2, Albert Gate, London S. W. 1 (Suter. Klubu Orla Białego)

DZIAŁ LEKARSKI P. & B. S. C.

56, Draycott Place, London S. W. 3 wykonuje wszelkie zlecenia do Polski za bezpłatną poradą lekarza Firmy.

Dochód z obrotów przeznaczony na pomoc dla wdów i sierot w Polsce.

CENY NISKIE

WĘDLINY!

WĘDLINY!

SALAMI AUSTRALIJSKIE	7/6 za lb.
SALAMI BELGIJSKIE	7/6 za lb.
KIEŁBASA DUŃSKA	8/- za lb.
MORTADELLA	7/6 za lb.
SALAMI WĘGIERSKIE	9/- za lb.

dostarcza do obozów, hosteli i ośrodków polskich w Wielkiej Brytanii

BIURO PACZEK SPK

57, EDBROOKE ROAD, LONDON, W. 9.

Nadto po otrzymaniu Postal Order'u wysyła pocztą

od 2 lbs. wzywy nie doliczając kosztów wysyłki.

KREM ODŻYWCZY „Giga”

polskiej produkcji

zapewnia zawsze

gładką i świeżą cerę

Do nabycia:

Sklep SPK, Dom Kombatanta

20, Queens Gate Terrace, London S.W. 7

NAPRAWA zegarków i zegarów

z roczną gwarancją na piśmie

M. T. STACHOWIAK

Oddawanie i odbiór w Sklepie SPK

DOM KOMBATANTA, 20, Queens

Gate Terrace, London S. W. 7.

WYDAJE „FIGHTING POLAND” TRUST

ADRES REDAKCJI (Editorial Offices): 20, Queen's Gate Terrace, London S.W.7. Tel. WESTERN 0747. W czwartki i piątki. Tel. Slough 21230. Redaktor przyjmuje we wtorki w godz. 10—13 (Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku).

WARUNKI PRENUMERATY: z przesyłką pocztową w W. Brytanii kwartalnie 8 sh. w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie \$1.00 (Należność prosimy wpłacać z góry przeliczając pocztowym lub czekiem na „Fighting Poland” Trust pod adresem Administracji).

CENY OGŁOSZEN: 1 cal przez jeden tydzień — £110.0 (\$5). Zarezerwowane miejsce 50 proc. drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100 proc. drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1 sh. za słowo, trzykrotne 1 sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaoferowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1 sh. za słowo. Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

ADRES ADMINISTRACJI: 57, Edbrooke Road, London, W.9. Tel.: CUNNINGHAM 5594. (Przy wszelkiej korespondencji, przekazywaniu pieniędzy, zmianie ilości prenumerowanych egzemplarzy itp. prosimy o podawanie dokładnego adresu, a przy zmianie adresu — o podawanie również starego adresu).